PAŹDZIERNIK 2026

KOMPAS KULTURALNY

wydawca: CENTRUM sp. z o. o. | gazeta 30minut | nakład: 10.000 egz.

Agnieszka Dobkiewicz

mieszkanka Dolnego Śląska, pisarka, publicystka i dziennikarka. Stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Prezes Fundacji IDEA, która promuje dziedzictwo historyczne i kulturowe Dolnego Śląska, wydawca Świdnickiego Portalu Historycznego.

"... Poleciały mi łzy. To są chwile, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że idę w dobrą stronę." - rozmowa z pisarką Agnieszką Dobkiewicz

Paweł Szpur: Zanim oddała Pani w ręce czytelników swoją debiutancką książkę, przez lata opisywała pani region jako dziennikarka. Jak bardzo warsztat reporterki pomógł, a w jakim stopniu przeszkadzał, gdy trzeba było zbudować dłuższą, wielowątkową narrację literacką?

Agnieszka Dobkiewicz: Wyłącznie pomagał. Pracowałam wiele lat w mediach lokalnych, gdzie nauczyłam się uważności, umiejętności rozmowy z ludźmi i pozyskiwania materiałów. Ale też dyscypliny pracy. Pisze o tym, bo w społeczeństwie panuje przekonanie, że dziennikarz zaczyna pracę po południu, a potem wypija kawę. Tymczasem sam Pan wie, jak to wymagające i absorbujące zajęcie. Już później w „Gazecie Wyborczej" zaczęłam pisać pierwsze duże reportaże i okazało się, że świetnie się znajduję w tej formie przekazu, a Czytelnicy chętnie czytają moje teksty.

W swoich książkach bazuje pani na dokumentach sądowych i archiwalnej prasie. Jak znajduje pani złoty środek między wiernością historycznym, często suchym i encyklopedycznym faktom, a budowaniem ładunku emocjonalnego, który sprawia, że czytelnik autentycznie czuje tę historię?

Tu właśnie pomaga warsztat, o który Pan pytał, i lata pracy w zawodzie dziennikarki. Potrafię w sposób zrozumiały i atrakcyjny dla Czytelnika/Czytelniczki przekazać nawet bardzo trudną historię. Czasami do napisania jakiejś opowieści w książce inspiruje mnie jedna strona w zachowanych archiwaliach, jedno zdanie czy zdjęcie, czasem jedna data rozbudza moją ciekawość lub przedmiot, choćby zwykła maszyna do szycia lub guzik. I jeśli złapię tę energię, emocję, to wiem, że będę umiała ją opisać i wyczują ją czytelnicy. Nie przepadam za sytuacjami, gdy mam nadmiar wiadomości i dokumentów. To mnie przytłacza.

Książkę „Dziewczyny z Gross-Rosen. Zapomniane historie z obozowego piekła" przeczytałem z zapartym tchem. Zapewne u czytelników wywiała ona niesamowite emocje. Przywracanie pamięci o Gross-Rosen to uświadamianie czytelnikom, że piekło działo się tuż obok, w miejscach, które dziś często mijamy obojętnie. Z jakimi reakcjami lokalnej społeczności spotyka się pani najczęściej, gdy na jaw wychodzą te trudne fakty z powojennej historii Świdnicy i okolic?

Zainteresowaniem. Ludzie chcą wiedzieć, co się w ich przestrzeni działo, nawet jeśli to jest trudna historia. Ale także z olbrzymim wsparciem i czymś, co mogę śmiało nazwać wdzięcznością. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy w Legnicy, gdzie pojechałam na spotkanie z „Pożydowskim. Niewygodna pamięć", książką o przenikaniu dwóch kultur, ponad sto powitało mnie na stojąco i brawami. Poleciały mi łzy. To są chwile, które utwierdzają mnie w przekonaniu, że idę w dobrą stronę.

Teraz mamy na ryku najnowszą pozycję, którą prezentuje Pani podczas spotkań z czytelnikami. W książce „Zamek Książ. Historia opowiedziana głosami służących" zmienia pani optykę. O Książu powiedziano już niemal wszystko z perspektywy arystokracji i wielkiej polityki. Skąd pomysł, by oddać głos tym „niewidzialnym" – służbie, która de facto tworzyła krwiobieg tego miejsca?

Zdecydowała ciekawość. Zawsze mnie zastanawiało, kto organizowało to wystawne, arystokratyczne życie. Przymierzałam się do artykułu na ten temat, ale okazało się, że to temat na książkę i to pewno niejedną. Myślę, że ta moja ciekawość zamieniła się w całkiem potrzebną książkę, która nie tylko zapełnia Zamek Książ ludźmi, ale też pokazuje zmierzch pewnego świata. I to wszystko dzieje się w tle wielkich konfliktów politycznych, wojen, znanych nazwisk i wydarzeń. Sama jestem zaskoczona, jak dobra opowieść się z tego wyłoniła.

Poprzez książki, współpracę z mediami, a także opiekę nad Fundacją Idea i Świdnickim Portalem Historycznym, wykonuje pani gigantyczną pracę u podstaw. Czy Dolnoślązacy wciąż potrzebują uczyć się swojej trudnej, poszarpanej tożsamości, czy może ten głód lokalnej historii jest już dziś zaspokajany?

Mam wrażenie, że ta tożsamość dopiero teraz właśnie jest czymś, co zaczyna nas szeroko zajmować. Zaczynamy jako Dolnoślązacy wyraźnie czuć to, co nas odróżnia od reszty Polski, ale chyba jeszcze nie umiemy tego nazwać. Zapewne słyszał pan terminy „Odrzania", „Sudeckość", „Niepolska". My naprawdę polubiliśmy tę ziemię przez 80 lat. I to jest nasz sukces. Dolny Śląsk pełen jest zakochanych w nim pasjonatów. Wystarczy popatrzeć, jak dużo świetnych rzeczy się dzieje. W samym Wałbrzychu niebawem otwarte zostanie muzeum poświęcone mieszkańcom – Tygiel. Ono powstało z szacunku do historii i mieszkańców, ale też dla nauki. Więc ta potrzeba wiedzy o Dolnym Śląsku jest spora. Wydawnictwa też doceniają dolnośląskich autorów widząc zainteresowanie Czytelników ich opowieściami. Nawet noblistka Olga Tokarczuk swoją ostatnią powieść poświeciła Dolnemu Śląskowi. Dla mnie osobistą wielką dumą jako autorki książki „Dziewczyny z Gross-Rosen", że jedną z jej bohaterek uczyniła właśnie grossroseńską więźniarkę. To jest wyjątkowe uczucie, gdy Twój reportaż zmienia sposób myślenia o świecie na trwałe.



fot. Paweł Szpur

rozmawiał Paweł Szpur

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

„Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury"

„Kompas Kulturalny: Upowszechnianie dorobku twórców oraz dziedzictwa kulturalnego i historycznego regionu wałbrzyskiego i świdnickiego."

autor: Małgorzata Szpara

O kościele, którego miało nie być - ŚWIDNICKA PERŁA BAROKU i najważniejszy festiwal organowy w regionie.

W całym kraju jest ich osiemnaście, na Dolnym Śląsku tylko trzy - zabytki wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO (Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Edukacji, Nauki i Kultury powstałej w 1946 roku), prestiżowego wykazu miejsc, na którym mogą znaleźć się tylko zabytki o wyjątkowej uniwersalnej wartości i międzynarodowym uznaniu. I nie chodzi tylko o sam obiekt kulturowy - zabytek, miejsce czy obszar przyrody. Ważne jest przede wszystkim jego znaczenie w historii świata, kultury, nauki i architektury. Znaczenie, które przekracza wszelkie granice, również kraju, w którym się znajduje.

Miejsce, o którym dziś chcę Państwu opowiedzieć robi tak ogromne wrażenie, że widząc je po raz pierwszy zaniemówiłam. Najbardziej pamiętam przepiękną grę światła wpadającego do jego wnętrza kaskadami lśniących, roziskrzonych promieni. Prowadzi do niego aż 27 wejść. Majestatyczny, tajemniczy świadek historii całego regionu, budzący podziw od ponad 350 lat - Kościół Pokoju w Świdnicy został wybudowany w 1657 roku. Na liście



fot. Małgorzata Szpara

UNESCO znalazł się już w 2001 roku, 25 lat temu. Jest to zabytek wyjątkowy, który zrobi wrażenie na każdym, niezależnie od liczby nieobecności na lekcjach religii w szkole (w dorosłym życiu też). Pamiętam również zdziwienie, które towarzyszyło mi podczas pierwszej wizyty. Bo choć jego bryła robi wrażenie już z zewnątrz, prawdziwy spektakl zaczyna się dopiero we wnętrzu, pośród tego, co barok ukochał najbardziej - przepychu, bogactwa zdobień i dekoracyjnego rozmachu.

Odrobina historii

Czy wiecie Państwo, że ta największa drewniana barokowa świątynia w Europie powstała wbrew wszelkim przeciwnościom? A właściwie, że z założenia miała nie przetrwać zbyt długo? W XVII wieku, tuż po zakończeniu wojny trzydziestoletniej, Habsburgowie zezwolili ewangelickiej mniejszości na wznoszenie własnych świątyń. Zgoda ta była jednak obwarowana tak restrykcyjnymi warunkami, że ich celowość była bardzo transparentna - skutecznie utrudnić realizację tego przedsięwzięcia. Kościoły nie mogły przypominać tradycyjnych świątyń, ich budowa nie mogła trwać dłużej niż rok, a same budowle musiały powstać poza murami miasta. Zakazano wznoszenia wież i dzwonnic. A najlepsze, a może raczej najtrudniejsze, dopiero przed nami: do budowy można było wykorzystać wyłącznie materiały uznawane za nietrwałe, takie jak drewno, słoma, glina czy piasek. Trudno o lepszy punkt wyjścia dla historii, która miała potoczyć się zupełnie inaczej, niż zakładali jej pomysłodawcy. Dziś na powierzchni ponad 1000 metrów kwadratowych kościół pomieści około 7,5 tysiąca osób. Jego wnętrze przyprawia o zawrót głowy. Zobaczymy tam niezliczoną liczbę rzeźb, XVII-wieczny okazały drewniany ołtarz, przepiękną ambonę, kilka poziomów bogato zdobionych empor, dwie pary organów, jedne pochodzące z 1909 roku, największe na Dolnym Śląsku, o 62 głosach i drugie, mniejsze z XVII wieku. Na szczególną uwagę zasługuje również drewniana chrzcielnica ozdobiona polichromią, pochodząca z 1661 roku - jest to najstarszy zachowany element wyposażenia świątyni. Tych z Państwa, którzy pamiętają artykuł o Krzyżowej z poprzedniego numeru naszego „Kompasu", z pewnością zainteresuje również fakt, że to właśnie w świdnickim Kościele Pokoju modlili się o pojednanie Tadeusz Mazowiecki i kanclerz Niemiec Helmut Kohl, zmierzając do Krzyżowej. Do świątyni zajrzał również sam Dalajlama XIV i szwedzka para królewska. Przepych, rozmach i bogactwo, także na poziomie znakomitości, którzy podziwiali tę świdnicką perłę baroku.

Międzynarodowy Festiwal Organowy im. Christiana Schlaga

Skoro zabytkowe organy to także wyjątkowe wydarzenia muzyczne, które pozwalają w pełni docenić ich brzmienie. Jednym z najważniejszych jest Międzynarodowy Festiwal Organowy im. Christiana Schlaga, organizowany od 2016 roku przez świdnicką Fundację Dobrej Muzyki. Jest kontynuacją Międzynarodowego Festiwalu Organowego Młodych, od organizacji którego Fundacja rozpoczęła swoją działalność. Główny zamysł Festiwalu? Cykl letnich koncertów w świątyniach Dolnego Śląska, których wnętrza skrywają te wyjątkowe instrumenty. Postać patrona festiwalu ma tu szczególne znaczenie. Christian Schlag był niemieckim organmistrzem, który w 1869 roku założył w Świdnicy słynną fabrykę organów. Jego działalność przyczyniła się do rozwoju miasta jako jednego z ważniejszych ośrodków budowy tych instrumentów na Śląsku. Rodzinna firma Schlag & Söhne zdobyła międzynarodową renomę, produkując ponad tysiąc organów, które trafiły do świątyń w różnych krajach. Do dziś zachowało się około 700 na świecie (można je znaleźć nie tylko w Europie, ale również w Ameryce czy Afryce), w naszym kraju kilkadziesiąt. Wszystkie festiwalowe koncerty grane są właśnie na organach powstałych w firmie Schlaga. Czy można rozpoznać ich brzmienie pośród instrumentów produkowanych również przez inne znaczące wówczas wytwórnie, takie jak Sauer czy Steinmeyer? Znawcy twierdzą, że organy powstałe w Świdnicy wyróżniają się wyjątkowo łagodną, szlachetną barwą dźwięku i choć dziś stanowią cenne zabytki techniki i sztuki organomistrzowskiej, nie straciły swojej funkcjonalności. Wyjątkowości tym instrumentom dodaje na pewno fakt, że ich



fot. Małgorzata Szpara

możliwości pozwalają interpretować zarówno muzykę dawną, jak i utwory współczesne, również z pogranicza jazzu. Organy w świdnickim Kościele Pokoju brzmią podobno najbardziej zjawiskowo.

Brass Glory - koncert finałowy

Tegoroczna, XI już edycja Festiwalu, przyciągnęła tłumy miłośników muzyki organowej, którzy od maja do października mogli posłuchać kilkunastu koncertów w czterech dolnośląskich świątyniach: w Świdnicy, Świebodzicach, w Wałbrzychu i w Jaworze. W piątek, 9 października 2026, w Kościele W piątek, 9 października 2026, w Kościele Pokoju w Świdnicy odbył się finałowy koncert, podczas którego zagrała Cathedral Grass Narodowej Orkiestry Dętej w Lublinie pod dyrekcją Tomasza Kaniewskiego, dyrygenta i aranżera Orkiestry Miasta Poznania. Przy organach zasiedli Zuzanna Bator, organistka, prezeska Fundacji Dobrej Muzyki, dyrektor artystyczna Festiwalu wraz z mężem Maciejem Batorem, kantorem Kościoła Pokoju w Świdnicy. W programie znalazły się utwory renesansowe, barokowe i XX-wieczne. Co wyróżniało tegoroczny finał? Niezwykła harmonijna synergia dźwięków organów i instrumentów dętych blaszanych. Tego dialogu brzmień świdnicka publiczność nie zapomni bardzo długo.

Wizyta w Kościele Pokoju w Świdnicy, niezależnie od tego, czy przychodzimy tu, by podziwiać jego niezwykłą architekturę i historię, czy uczestniczyć w koncercie lub innym wydarzeniu, zasługuje na adekwatne dopełnienie. Tuż obok świątyni znajduje się klimatyczna kawiarnia „7 Niebo", w której warto zatrzymać się na chwilę, by przedłużyć to wyjątkowe doświadczenie. Gwarantuję Państwu, że kawa tam stanie się kropką nad i Waszej całej wizyty.



fot. Małgorzata Szpara

autor: OSA

Magia z kartki. Czytania sztuk dla dzieci w wałbrzyskim TLiA.

17 października, w Teatrze Lalki i Aktora rozstrzygnięto I Ogólnopolski Konkurs na Sztukę Teatralną dla Dzieci. Grand Prix zdobył tytuł Elizy Mikulskiej „Kamyk, który chciał być gwiazdą" za „pozostawienie przestrzeni wyobraźni dla publiczności oraz dojrzałą strukturę tekstu", drugie miejsce przyznano Sebastianowi Róg „za zręczne operowanie konwencją teatralną i niebanalną metaforykę" w utworze „Poniosło mnie", trzecie zaś Krzysztofowi Wojciechowskiemu za „niezwykłe poczucie humoru, bijące z tekstu ciepło i bezpretensjonalność". Mowa tu o opowieści „Zupełnie sam". Jury doceniło także twórczość Marka Skowera, wyróżniając jego „Irgę z patykami" „za czułe przedstawienie relacji rodzinnych oraz wiarygodne uchwycenie dziecięcej wyobraźni".

Trzy nagrodzone teksty można było usłyszeć 16 i 17 października w formie czytania performatywnego zorganizowanego w wałbrzyskim TLiA.

Łącznie na ogłoszony konkurs wpłynęły 92 prace, z czego komisja: Anna Jezierska, Karolina Sobolewska i Seweryn Mrożkiewicz, wybrała osiemnaście dramatów. Spośród tych zarekomendowanych grono sędziowskie: Monika Czajkowska, Tomasz Daszczuk i Mariusz Gołosz, wyłoniło czterech wspomnianych zwycięzców. - Nasz konkurs na sztukę teatralną dla dzieci powstał z prostej potrzeby - chcieliśmy dać szansę osobom, które piszą dla dzieci, ale nie są zawodowymi dramaturgami. Często mają dobre pomysły i własny język, jednak trudno im znaleźć drogę do teatru - podkreślał podczas finałowego spotkania, w którym uczestniczyli także najmłodsi, Zbigniew Prażmowski, dyrektor TLiA.

„Kamyk, który chciał być gwiazdą"

Z tym tekstem publiczność zapoznała się w piątek. „Kamyk, który chciał być gwiazdą" to historia o poszukiwaniu tożsamości, potrzebie akceptacji i odkrywaniu poczucia własnej wartości, która nie zależy od uznania innych. Eliza Mikulska podejmuje temat bliski zarówno młodszym, jak i starszym widzom, skłaniając do refleksji nad tym, czym jest wyjątkowość i czy rzeczywiście wymaga ona wyróżniania się na tle otoczenia.
Główną figurą sceniczną jest Kamyk, który pragnie stać się kimś niezwykłym, przyciągać uwagę i błyszczeć niczym gwiazda na niebie. Jego dążenie do spełnienia marzeń prowadzi jednak do odkrycia innej prawdy: że oryginalność i niebanalność nie muszą wiązać się z nadzwyczajnymi osiągnięciami. Spotkania z Wróblem, Kałużą, Świetlikiem, Księżycem i Latarnią zmieniają sposób, w jaki Kamyk postrzega siebie i otaczający go świat: „chłopiec" zaczyna rozumieć, że również zwyczajność może mieć głębokie znaczenie, a bliskość drugiego człowieka bywa ważniejsza niż podziw i rozgłos. Okazuje się, że w pogoni za idealnym „ja", tracimy to, co najcenniejsze - zalety, autentyczność. Eliza Mikulska swym tekstem otwiera pole do jakże ważnej rozmowy o samoakceptacji, relacjach międzyludzkich i presji związanej z koniecznością wyróżniania się.
Za reżyserię „spektaklu" odpowiada Eryk Herbut. W obsadzie: Miłosz Sadowski, Tomasz Frąszczak, Aleksandra Heral, Seweryn Mrożkiewicz, Bożena Olizarowicz, Paweł Pawlik, Filip Niżyński.

„Poniosło mnie"

Największą wartością „Poniosło mnie", laureata 2. miejsca, jest przypomnienie, że czasami trzeba się zagubić, aby na nowo odnaleźć siebie. To interesująca propozycja nie tylko dla dzieci, ale także i ich rodziców, którzy w zachowaniach króla czy postaci ciotki, mogą dostrzec swoje odbicie, cofnąć się do czasów własnego dzieciństwa i spojrzeć na wszystko z innej perspektywy, z dystansu. To także opowieść o potrzebie bliskości, o byciu niezauważonym, o spełnianiu cudzych zachcianek, ale też i o stawianiu granic. Sebastian Róg porusza ważny i niezwykle aktualny temat poświęcania siebie dla innych, często kosztem marzeń, pragnień i emocji.
Historia małego bohatera, który pewnego dnia dosłownie odrywa się od znanej mu rzeczywistości, stanowi ciekawą metaforę ucieczki od codziennych obowiązków i oczekiwań otoczenia. Twórcy (autor, jak i reżyser, Piotr Żukowski) umiejętnie łączą elementy baśniowe z absurdem, teatrem cieni, dzięki czemu spektakl staje się ambitny, jest zachętą do głębszej refleksji. Pod warstwą symboli (np. skrzydło, chmury) kryją się pytania o wolność, odpowiedzialność i odwagę potrzebną do tego, by zacząć żyć w zgodzie z samym sobą.



fot. Paweł Szpur

Kolejnym atutem tytułu jest jego uniwersalne przesłanie. Widz odnajduje w prezentowanych wątkach cząstkę własnych doświadczeń, szczególnie jeśli zdarzyło mu się pozostawać w cieniu młodszego rodzeństwa. Sebastian Róg przypomina nam, że pomaganie - owszem - jest wartością, ale nie powinno wiązać się z całkowitym zapominaniem o sobie, akceptowaniem sytuacji, w której ciągle słyszymy: „poczekaj". Autor zwraca również uwagę na to, jak ważne jest zatrzymanie się w codziennym pędzie i zadanie sobie pytania, czego tak naprawdę potrzebujemy.



fot. Paweł Szpur

„Zupełnie sam"

Prezentacja tekstu „Zupełnie sam" Krzysztofa Wojciechowskiego w reżyserii Zofii Grzywacz – nagrodzonego III miejscem w prestiżowym finale konkursu – udowadnia, że współczesna dramaturgia dla najmłodszych potrafi dotykać tematów fundamentalnych z rzadko spotykanym wyczuciem, humorem i głębokim ciepłem.
Punkt wyjścia fabuły realizuje klasyczny, lecz niezmiennie intrygujący motyw postapokaliptyczny w skali mikro. Główny bohater, mały pies (mops) o imieniu Max, budzi się w świecie pozbawionym ludzi i zwierząt. Ta nagła, przytłaczająca cisza zostaje jednak błyskawicznie przełamana przez wprowadzenie motywu fantastycznego: kosmicznej eskapady dwóch przybyszów z obcej planety. Kontrast między bezradnymi, choć teoretycznie technologicznie zaawansowanymi obcymi, a psem Maxem, który staje się ich ziemskim przewodnikiem i nauczycielem codzienności, buduje doskonałą oś po trosze komediową, a po trosze filozoficzną.
„Zupełnie sam" to mądry, pozbawiony moralizatorskiego zapędu przekaz o bliskości, tęsknocie za drugim człowiekiem. Tekst Wojciechowskiego, ożywiony przez trio aktorskie w składzie: Wojciech Oset, Kamil Król, Anna Jezierska, posiada spory potencjał repertuarowy. Pokazuje dzieciom, że najsilniejszą bronią w walce z przeciwnościami losu są otwartość na Innego oraz nieograniczona wyobraźnia. To mogłaby być jedna z najbardziej ujmujących propozycji tego sezonu. Warto nadmienić, iż autor stworzył ją z myślą o swojej chrześnicy i że to nie koniec przygód Maksa, a dopiero ich piękny początek.

Rozmowa kulturalna

rozmawiał Paweł Szpur

Ks. Marek Bożek

proboszcz Parafii Ewangelicko-Augsburskiej Kościoła Zbawiciela w Wałbrzychu

4



fot. Paweł Szpur

Paweł Szpur: W tym roku odbywa się już IV edycja Wałbrzyskiego Festiwalu Reformacji. Jak na przestrzeni tych czterech lat zmieniało się to wydarzenie? Czy dziś jest to święto skierowane przede wszystkim do społeczności ewangelickiej, czy raczej szeroka oferta kulturalno-historyczna dla wszystkich mieszkańców Wałbrzycha?

Ks. Marek Bożek: Trudno mówić o wielkich zmianach po zaledwie czterech edycjach. Zaczynaliśmy od weekendu, a od trzech lat festiwal trwa przez cały miesiąc. Zachowujemy elementy, które publiczność polubiła, jak spacery historyczne czy Jazzowe Zaduszki. Ta formuła się sprawdza, ale jesteśmy otwarci na nowe pomysły i potrzeby odbiorców. Chociaż w dużej mierze chodzi również o środki finansowe. Od początku kierujemy festiwal do wszystkich. Chcemy popularyzować wiedzę o historii i kulturze, szczególnie związanej z Kościołem ewangelickim w Wałbrzychu i okolicach. Zapraszamy mieszkańców niezależnie od wyznania czy światopoglądu. Coraz częściej przyjeżdżają również goście spoza miasta, zainteresowani dziejami regionu i ewangelickim dziedzictwem tych ziem.

W programie widzimy wydarzenia nieszablonowe – jak choćby historyczne „Rozmowy Stołowe" w restauracji, prowadzone z perspektywy żony Marcina Lutra, Katarzyny von Bory. Skąd pomysł na to, by z historią XVI-wiecznej reformacji wyjść poza mury kościelne w tak nieformalnej, bezpośredniej formule?

Od początku chcieliśmy wychodzić poza mury kościoła. Zapraszamy do odkrywania jego wnętrza i słuchania koncertów, ale z historią chcemy wychodzić do innych przestrzeni miasta. Przy okazji 500-lecia reformacji na ziemi wałbrzyskiej narodził się pomysł spotkania łączącego rozmowę z odrobiną teatru. Inspiracją były „Tischreden", czyli „Rozmowy stołowe" Marcina Lutra. Przy jego stole spotykali się studenci, przyjaciele i goście, rozmawiając o wierze, problemach społecznych i codzienności. Zapisywane przez uczestników wypowiedzi reformatora złożyły się później na wydane zbiory. W ubiegłym roku naszym rozmówcą był „Marcin Luter", opowiadający o Reformacji i jej znaczeniu dla Dolnego Śląska. W tym roku oddaliśmy głos Katarzynie von Bora. W jej postać wcieliła się ks. Marta Zachraj-Mikołajczyk, która w stroju stylizowanym na XVI wiek przybliżyła codzienność tamtej epoki, pozycję kobiet i niezwykłość samej Katarzyny. Rozmawialiśmy o tym, jak to było być żoną tak znanego człowieka, a jednocześnie mieć własny charakter, obowiązki i ambicje.

Podczas Festiwalu obchodzimy 80-lecie polskiej parafii ewangelickiej w Wałbrzychu. Budowanie polskiej społeczności luterańskiej po 1945 roku na ziemiach, gdzie protestantyzm przez wieki miał oblicze niemieckie, musiało być niezwykle trudne. Z jakimi największymi wyzwaniami mierzyli się pionierzy wałbrzyskiej parafii w tamtym czasie?

To szczególny jubileusz — dziękujemy za dzieło rozpoczęte 80 lat temu i odwagę jego twórców. Powojenny Wałbrzych był miejscem współistnienia różnych wspólnot. Jeszcze dziesięć lat po wojnie niemieckojęzyczna społeczność ewangelicka w Sobięcinie liczyła ponad tysiąc osób, podczas gdy polska parafia przy Kościele Zbawiciela skupiała w całym Wałbrzychu zaledwie dwieście kilkanaście. Jednym z największych wyzwań było zapewnienie stałej opieki duszpasterskiej. Wielu polskich duchownych ewangelickich zginęło podczas wojny, także w obozach koncentracyjnych. Pozostali odbudowywali życie parafii pozbawionych duszpasterzy, a na zachodzie kraju szczególnie odczuwano ich brak. Ogromne znaczenie miało zaangażowanie kuratora i rady parafialnej. Ich starania pomogły doprowadzić do pierwszego polskiego nabożeństwa, a następnie wyboru proboszcza. Drugą trudnością były finanse. Parafia traciła nieruchomości związane wcześniej z kościołem ewangelickim, choć to dochody z wynajmu mieszkań pozwalały opłacać rachunki, utrzymywać świątynię i duchownego. Pionierzy musieli równocześnie budować wspólnotę i zabiegać o materialne podstawy jej istnienia.

Kościół Zbawiciela otworzy swoje podwoje nie tylko na klasyczny koncert organowy prezentujący trzy stulecia muzyki ewangelickiej, ale też na nocne zwiedzanie. Czy architektura i przestrzeń tego zabytkowego obiektu wciąż kryją przed współczesnymi wałbrzyszanami jakieś tajemnice?

Cieszymy się, że coraz więcej osób poznaje wnętrze i historię Kościoła Zbawiciela. Od trzech lat pomaga nam w tym Muzeum Porcelany, któremu jesteśmy wdzięczni za życzliwość i owocną współpracę. W tegoroczne wakacje świątynię zwiedziło ponad 3000 osób. Ta przestrzeń wciąż nas zachwyca. Wnętrze jest skromne, ale oglądane z różnych miejsc potrafi robić zupełnie inne wrażenie. Właśnie temu służy nocne zwiedzanie. Zaglądamy wtedy tam, gdzie nie prowadzi zwykła trasa turystyczna i gdzie na co dzień nie docierają nawet uczestnicy nabożeństw. Zmiana perspektywy i nocna atmosfera pozwalają dostrzec szczegóły, które wcześniej umykały uwadze. Nawet dobrze znany kościół można odkryć na nowo. A tajemnice? Z pewnością jest ich jeszcze wiele. Jak to z tajemnicami bywa - czekają na odkrycie.

Festiwal wieńczą „Jazzowe Zaduszki" – wibrafon i fortepian w murach kościoła. Tradycja luterańska od zawsze była silnie związana z muzyką, ale tu mamy do czynienia z brzmieniem bardzo współczesnym. Czy jazz i kameralna improwizacja to dziś dobry język do rozmowy o pamięci i przemijaniu?

Myślę, że tak. Jazzowe Zaduszki mają w Polsce wieloletnią tradycję i dobrze łączą muzyczne spotkanie z refleksją nad przemijaniem. U nas również stały się stałym punktem festiwalu. Instrumentalny jazz w przestrzeni kościoła odbiera się inaczej niż w sali koncertowej czy klubie. Jesteśmy przyzwyczajeni, że w świątyni brzmią przede wszystkim organy, tymczasem jej akustyka pozwala odkrywać także inne instrumenty i brzmienia. Znaczenie ma również pora roku. Przełom października i listopada, chłód i coraz dłuższe wieczory sprzyjają zatrzymaniu się i zadumie. Muzyka bez słów zostawia przestrzeń na własne wspomnienia i emocje. Każdy może przeżyć ten koncert osobiście, pomyśleć o tych, których zabrakło, i o swoim przemijaniu.



autor: Paweł Szpur

Reformacja to też muzyka! Festiwal Reformacji to przybliżenie dziedzictwa regionu.

Kiedy myślimy o Reformacji, przed oczami stają nam najczęściej opasłe księgi historyczne, teologiczne dysputy, dawne dokumenty oraz postać Marcina Lutra przybijającego swoje słynne tezy do drzwi kościoła w Wittenberdze. To skojarzenie jak najbardziej słuszne, ale jednocześnie niezwykle mocno upraszczające cały ruch, który na przełomie wieków zmienił oblicze Europy. Reformacja to bowiem nie tylko wielka historia, polityka czy przełom społeczny. Reformacja to również – a dla wielu przede wszystkim – rewolucja w świecie sztuki, w tym zwłaszcza sztuki muzycznej. To właśnie w kręgu tradycji ewangelickiej powstał chorał, a muzyka organowa osiągnęła swoje absolutne wyżyny, stając się jednym z najważniejszych filarów dziedzictwa kulturowego naszej części świata.
Doskonałym dowodem na to, jak żywa, bogata i wszechstronna jest ta tradycja, była zakończona właśnie czwarta edycja Wałbrzyskiego Festiwalu Reformacji. Tegoroczne wydarzenie, wpisujące się w uroczyste obchody 80-lecia polskiej parafii ewangelickiej w Wałbrzychu, po raz kolejny przyciągnęło licznych mieszkańców miasta oraz gości z całego regionu. Organizatorzy przygotowali bogaty cykl sześciu wydarzeń łączących historię, architekturę i edukację, jednak to właśnie muzyka stała się sercem, osią i najbardziej donośnym głosem całego festiwalu Wszystkie festiwalowe propozycje były dostępne dla mieszkańców całkowicie bezpłatnie.

Monumentalne brzmienia i cztery wieki tradycji: Koncert inaugurujący

Muzyczna podróż rozpoczęła się w Kościele Zbawiciela, który ze względu na swoją akustykę oraz historyczny charakter stanowi idealne tło dla dźwięków muzyki poważnej. Podczas koncertu inauguracyjnego zatytułowanego „Mistrzowie muzyki ewangelickiej – dźwięki trzech stuleci" za kontuarem organów zasiadł Przemysław Kojs. To niezwykle utalentowany muzyk młodego pokolenia – student wrocławskiej Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego w klasie organów dr. hab. Piotra Rojka oraz mgr. Jana Surmy, absolwent Państwowej Szkoły Muzycznej im. Ryszarda Bukowskiego we Wrocławiu, a także magister inżynier informatyki i doktorant Politechniki Wrocławskiej. Artysta ma na swoim koncie ponad setkę recitali solowych w kraju i za granicą, liczne nagrody na ogólnopolskich i międzynarodowych konkursach, a także prestiżowy tytuł „Złotego Lauru Młodego Organisty", zdobyty podczas 48. Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Kameralnej i Organowej w Giżycku.
Zgromadzona w wałbrzyskim kościele publiczność miała okazję wysłuchać programu podzielonego na trzy dopracowane w najmniejszych szczegółach bloki tematyczne, pokazujące ewolucję muzyki organowej na przestrzeni wieków.



fot. Paweł Szpur



fot. Paweł Szpur

Blok I – Mistrzowie północnoniemieccy

Na otwarcie koncertu zabrzmiały dwa arcydzieła północnoniemieckiej szkoły organowej z epoki baroku: Preludium E-dur Vincenta Lübecka oraz Preludium e-moll Dietricha Buxtehudego. Obaj kompozytorzy reprezentowali kierunek, w którym niezwykle istotną rolę odgrywała wirtuozowska partida pedałowa. Klawiatura nożna nie służyła tam jedynie do podtrzymywania basowego akompaniamentu, ale realizowała samodzielne, skomplikowane i rozbudowane partie melodyczne.

Blok II – Rozwój gatunku opracowania chorałowego

Drugi blok koncertu został w całości poświęcony sztuce opracowania chorałowego, czyli budowaniu nowej kompozycji na kanwie znanej melodii liturgicznej. Motywem przewodnim stała się tradycyjna adwentowa pieśń Nun komm, der Heiden Heiland („Przyjdź, Zbawicielu narodów") – wybór niezwykle trafny z uwagi na patronat wałbrzyskiej świątyni. Po prezentacji oryginalnej melodii Przemysław Kojs zaprezentował słuchaczom aż sześć jej zróżnicowanych opracowań.

Blok III – Romantyzm, XX wiek i żywa improwizacja

W finałowej części koncertu organowego melodia chorału Nun komm, der Heiden Heiland przeniosła słuchaczy w czasy bliższe współczesności. Najpierw zabrzmiała siódma fuga z cyklu dwunastu opracowań chorałowych szwajcarskiego kompozytora Rudolfa Löwa, reprezentująca płynny i śpiewny nurt wczesnego romantyzmu. Została ona zderzona z ruchliwą, pełną rytmicznej energii toccatą autorstwa Hugo Distlera – jednego z najważniejszych niemieckich kompozytorów ewangelickich XX wieku. Prawdziwym zwieńczeniem wieczoru była jednak improwizacja organowa wykonana przez Przemysława Kojsa na żywo.

Mroźny wieczór, światło świec i szlachetny jazz: Finałowe Zaduszki

O ile inauguracja festiwalu miała charakter wysoce klasyczny i podniosły, o tyle wielki finał przyniósł zupełnie inne, niezwykle kameralne i poruszające emocje. Na zakończenie IV Wałbrzyskiego Festiwalu Reformacji w Kościele Zbawiciela odbyły się „Jazzowe Zaduszki", które zgromadziły kompletną publiczność poszukującą chwili wyciszenia i głębszej refleksji. Podczas tego wyjątkowego, zaduszkowego wieczoru ze sceny zabrzmiały następujące utwory: Crossing the river – autorska, przejmująca kompozycja Irka Głyka, Happy New Season – utwór pełen nadziei i ciepłych bar, Nardis – słynny, tajemniczy standard autorstwa Milesa Davisa, Waves of life – wielowarstwowa kompozycja I. Głyka, Pomyśl – skłaniający do zadumy, nostalgiczny utwór wibrafonisty, Bud Powell – dynamiczny hołd dla legendy bebopu złożony przez Chicka Core, La Fiesta – pełen ognia i latynoskiej ekspresji klasyk Chicka Corei, Song For My Baby Child – osobisty, niezwykle delikatny utwór I. Głyk, It will get better – dający nadzieję akcent na zakończenie koncertu
Niezwykły klimat tego wydarzenia sprawił, że publiczność długo nie chciała wypuścić artystów ze sceny, nagradzając ich gorącymi owacjami.

Edukacja, spuścizna i spacery: Bogate tło historyczne

Choć to właśnie występy muzyczne wywołały najwięcej emocji i przyciągnęły największe tłumy melomanów, organizatorzy IV Wałbrzyskiego Festiwalu Reformacji pamiętali również o szerokim wymiarze edukacyjnym i historycznym. W programie znalazły się cztery niezwykle interesujące wydarzenia towarzyszące, które pozwoliły mieszkańcom spojrzeć na dzieje własnego miasta z zupełnie nowej perspektywy takie jak: Wieczór Historyczny, Nocne zwiedzanie Kościoła Zbawiciela, Historyczne „Rozmowy Stołowe", Spacer historyczny śladami ewangelików na Sobięcinie.

autor: Małgorzata Szpara

6 Tramwajem i trolejbusem przez Wałbrzych, czyli o dawnej komunikacji miejskiej.

Kiedy mam przerwę od codzienności i akurat przechadzam się wtedy po swoich ukochanych wałbrzyskich zakamarkach, towarzyszą mi zawsze dwa, te same od lat, marzenia: aby napić się kawy w kawiarni Willy'ego Bräuera na parterze kina Capitol i przejechać się jednym z wałbrzyskich tramwajów. Mam świadomość, że aby je spełnić potrzebowałabym wehikułu czasu, ale na szczęście nikt nie zabronił mi marzyć.

Tramwaje

Choć dziś nieco trudno jest nam sobie wyobrazić Wałbrzych z tramwajami przecinającymi Plac Grunwaldzki i trolejbusami sunącymi ulicami pod gęstą siecią przewodów elektrycznych, przez dziesięciolecia właśnie takie pojazdy stanowiły ważny element miejskiego pejzażu. Strasznie żałuję, że jest to widok dla mnie niedostępny. Choć na pocztówki i zdjęcia dokumentujące tamten okres potrafię gapić się godzinami.

Ta część wałbrzyskiej historii to nie tylko rozwój komunikacji, lecz także przemiany przemysłowego miasta i poszukiwanie sposobów na sprawne przemieszczanie się w trudnym, górzystym terenie. Pod koniec XIX wieku Wałbrzych był już ważnym ośrodkiem przemysłu, którego rozwój napędzało przede wszystkim górnictwo węgla kamiennego. Rosnąca liczba mieszkańców, pracowników kopalń i zakładów przemysłowych sprawiała, że potrzebny stawał się nowoczesny transport publiczny. Odpowiedzią na te potrzeby okazały się tramwaje elektryczne. Budowę wałbrzyskiej sieci rozpoczęto w 1896 roku, a pierwsze linie uruchomiono we wrześniu 1898 roku. Połączyły one Szczawienko, dzisiejszy plac Grunwaldzki i Sobięcin. Już wkrótce sieć zaczęła się rozrastać, obejmując kolejne części miasta i pobliskie miejscowości. W 1907 roku tramwaje dotarły do Szczawna-Zdroju, z którym Wałbrzych od dawna łączyły silne związki gospodarcze i społeczne. Kolejne lata przynosiły przedłużenia tras, a w 1914 roku długość sieci wynosiła około 19 kilometrów. Tramwaje łączyły ważne węzły komunikacyjne, dworce kolejowe, centrum miasta oraz dzielnice zamieszkiwane przez robotników. Przebiegały przez obszary, w których codzienny rytm wyznaczały zmiany w kopalniach i fabrykach. Dla wielu mieszkańców były podstawowym środkiem dojazdu do pracy, szkoły czy urzędu. Stanowiły również połączenie Wałbrzycha z sąsiednimi miejscowościami, ułatwiając przemieszczanie się w obrębie lokalnej aglomeracji. Sieć rozwijała się mimo trudnego ukształtowania terenu i szkód górniczych, wpływających na stan infrastruktury. Utrzymywanie torowisk i ich modernizacja wymagały znacznych środków. Po II wojnie światowej przedsiębiorstwo tramwajowe przejęły polskie władze. W drugiej połowie lat 50. tramwaje nadal przewoziły pasażerów, ale coraz wyraźniej dostrzegano potrzebę zmiany dotychczasowego modelu komunikacji.

Trolejbusy

Pisząc ten tekst zastanawiałam się, czy możliwym było kursowanie po Wałbrzychu i tramwajami, i trolejbusami. Tak! Bo choć już w czasie II wojny światowej w Wałbrzychu rozpoczęto budowę sieci trolejbusowej, pierwsze pojazdy tego rodzaju pojawiły się na ulicach miasta w październiku 1944 roku, na trasie łączącej plac Grunwaldzki z dworcem Wałbrzych Główny. Początkowo trolejbusy nie wyparły jednak całkowicie tramwajów z tego odcinka, ze względu na ograniczoną dostępność części zamiennych i awaryjność nowego taboru. To sprawiło, że oba środki transportu przez pewien czas funkcjonowały w naszym mieście równolegle. Wierzę, że są pośród Państwa osoby, które tak samo jak ja zastanawiają się, czym właściwie różnił się trolejbus od tramwaju? Oba pojazdy korzystały z energii elektrycznej pobieranej z napowietrznej sieci trakcyjnej, ale tramwaj poruszał się po szynach, natomiast trolejbus jechał po zwykłej jezdni. Dzięki tej, jakże znaczącej różnicy, trolejbusy nie wymagały budowy torowiska i mogły łatwiej dostosowywać się do układu dróg. Ich ruch ograniczała jednak sieć przewodów, a możliwość omijania przeszkód była mniejsza niż w przypadku współczesnych autobusów. Dla Wałbrzycha, zmagającego się z problemami infrastruktury tramwajowej, trolejbusy wydawały się atrakcyjną alternatywą. W latach 50. i 60. XX wieku systematycznie rozbudowywano sieć, uruchamiając połączenia w kierunku Szczawienka, Rusinowej i Sobięcina. W 1959 roku trolejbusy przejęły trasę z placu Grunwaldzkiego do Szczawienka, a w kolejnych latach rozwijano połączenia obsługujące następne dzielnice. W szczytowym okresie, przypadającym na drugą połowę lat 60., wałbrzyska sieć obejmowała nawet dwanaście linii oznaczonych numerami od 0 do 11. Trolejbusy docierały do najważniejszych punktów miasta, a ich trasy były wielokrotnie wydłużane, skracane i reorganizowane. W 1964 roku w taborze znajdowały się 63 pojazdy. Był to okres, w którym komunikacja trolejbusowa odgrywała szczególnie ważną rolę w codziennym życiu mieszkańców Wałbrzycha.

Znak czasów

Rozwój trolejbusów odbywał się równolegle z postępującą likwidacją połączeń tramwajowych. W 1952 roku zamknięto trasę tramwajową prowadzącą do dworca Wałbrzych Główny. W 1959 roku tramwaje przestały kursować do Szczawienka, a w 1961 roku zlikwidowano połączenie z Rynku do Rusinowej. W 1963 roku zakończyła się eksploatacja trasy przez Rynek do Sobięcina. Ostatnim rozdziałem historii wałbrzyskich tramwajów była linia łącząca plac Grunwaldzki ze Szczawnem-Zdrojem. Ostatni tramwaj wyjechał na nią 30 września 1966 roku. Po blisko siedmiu dekadach od uruchomienia pierwszych połączeń charakterystyczny dźwięk kół na szynach zniknął z ulic Wałbrzycha. Nie oznaczało to jednak końca komunikacji elektrycznej.

Przez kilka kolejnych lat ważną rolę odgrywały trolejbusy. Ich los również był już jednak przesądzony. Wraz z rozwojem motoryzacji i komunikacji autobusowej zaczęto odchodzić od systemów wymagających rozbudowanej infrastruktury trakcyjnej. Autobusy można było łatwiej kierować na zmieniane trasy, a ich eksploatacja nie wymagała utrzymywania sieci przewodów nad ulicami. Proces likwidacji połączeń trolejbusowych rozpoczął się jeszcze przed końcem lat 60. Zamykanie kolejnych odcinków sieci stopniowo ograniczało zasięg tego transportu. W 1973 roku Wałbrzych ostatecznie pożegnał trolejbusy. Od tej pory miejską komunikację zbiorową oparto na autobusach, które z punktu widzenia ówczesnych planistów dawały większą elastyczność.

Dziś wiemy, że likwidacja dawnych systemów oznaczała również utratę charakterystycznego elementu miejskiego pejzażu.
Historia wałbrzyskich tramwajów i trolejbusów pokazuje, że transport publiczny jest czymś więcej niż tylko sposobem przemieszczania się. Odzwierciedla gospodarcze ambicje miasta, jego ograniczenia techniczne i zmieniające się wyobrażenia o nowoczesności. Choć tramwaje i trolejbusy dawno zniknęły z naszych ulic, pozostają ważną częścią historii Wałbrzycha - miasta, którego rozwój od zawsze był ściśle związany z przemysłem, pracą i codziennym życiem jego mieszkańców.



Plac Grunwaldzki w Wałbrzychu w pierwszej połowie lat 60. dwudziestego wieku . Przy prawej krawędzi, w miejscu obecnego przejścia dla pieszych, stoi drogowskaz: Wrocław 78km, Świdnica 24km.
Fot. B. Malmurowicz./ Ze zbiorów Biblioteki pod Atlantami w Wałbrzychu./ Za: www.polska-org.pl

autor: Paweł Szpur

Hollywood, polskie klasyki i tajne plany filmowe. Jak Zamek Książ stał się kinową stolicą Dolnego Śląska.

Gdyby mury Zamku Książ umiały mówić, opowiedziałyby niejedną historię. I to nie tylko tę o księżnej Daisy czy podziemnych korytarzach budowanych podczas II wojny światowej. Ta wspaniała perła historii od dekad przyciąga twórców filmowych z całego świata. Zagrała już chyba w każdym możliwym gatunku: od baśni dla dzieci, przez dojrzałe dramaty kostiumowe, po hollywoodzkie produkcje i mroczne thrillery. A przed nią jeszcze zapewne nie jedna produkcja.
Co sprawia, że filmowcy tak chętnie wracają w te strony? Książ ma wszystko, czego potrzeba na planie: monumentalne tarasy, bogato zdobione sale, gęste lasy wokół i aurę tajemnicy, której nie da się zrekonstruować w żadnym studiu produkcyjnym. A w dodatku zarządzających obiektem, którzy zdają sobie sprawę, że każdy przyjazd ekipy filmowej to dodatkowe bonusy promocyjne.
Gdy przyjrzymy się historii filmowej tej największej wałbrzyskiej atrakcji turystycznej, zdamy sobie sprawę, że oglądając kultowe polskie produkcje, bardzo często spoglądamy właśnie na Książ.

Od kostiumowych klasyków po wielkie melodramaty

Kamera pokochała Wałbrzych już w latach 60. XX wieku. Jedną z pierwszych produkcji realizowanych w zamku była krótkometrażowa „Tortura nadziei" z 1967 roku w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich. Chwilę później na plan wszedł Jerzy Antczak, by nakręcić słynną „Hrabinę Cosel" w 1968 roku z rewelacyjną Jadwigą Barańską i Mariuszem Dmochowskim. Barokowe i neorenesansowe wnętrza idealnie oddały klimat epoki.
Prawdziwym hitem okazała się jednak „Trędowata" z 1976 roku Jerzego Hoffmana. Kto pamięta słynne, wykwintne garden party ordynata Michorowskiego? Te ujęcia kręcono właśnie na zamkowych tarasach – Wodnym i Zachodnim. To tam kinowa elegancja spotkała się z wałbrzyską architekturą, tworząc sceny, które na stałe zapisały się w historii polskiej kinematografii.
Warto też wspomnieć o mrocznym „Diable" z 1972 roku Andrzeja Żuławskiego z Wojciechem Pszoniakiem. Zamek potrafi być piękny i dostojny, ale gdy trzeba, zmienia się w idealną scenerię do niepokojącego horroru kostiumowego.

Królestwo młodzieżowej przygody i baśni

Zamek Książ i otaczające go lasy stały się także ulubionym plenerem twórców kina młodzieżowego i przygodowego. To tu powstawały sceny do serialu „Znak orła" z roku 1977, popularnych „Strachów" z roku 1979 z Izabelą Trojanowską czy serii przygodowych Janusza Łęskiego, takich jak „Kłusownik" z 1980 roku, a także „Na tropach Bartka" z 1982 roku. Dla wielu zaskoczeniem może być fakt, że swój ślad zostawiła tu kultowa „Akademia Pana Kleksa" z roku 1984 Krzysztofa Gradowskiego. To właśnie na punkcie widokowym Grób Olbrzyma, skąd rozpościera się panorama na Książ i Stary Książ, kręcono wzruszającą scenę, w której książę Mateusz po ataku wilków zamienia się w szpaka. Magię zamku dostrzegli również zagraniczni twórcy kina dziecięcego – w latach 90. kręcono tu uwielbiany przez młodzież polsko-australijski serial fantasy „Dwa światy" (Spellbinder, 1995).

Zagraniczne gwiazdy i Oscar w Wałbrzychu

Z biegiem lat o Zamku Książ zrobiło się głośno daleko poza granicami Polski. Lokacja przyciągnęła międzynarodowe koprodukcje. W 1991 roku kręcono tu miniserial „Napoleon w Europie", przy którym pracowali tacy reżyserzy jak Krzysztof Zanussi czy Janusz Majewski, a na ekranie pojawili się Jan Nowicki i Daniel Olbrychski.
Ciekawostką jest polsko-amerykański dramat kostiumowy „Szuler" z roku 1991 w reżyserii Adka Drabińskiego. W obsadzie obok Jerzego Zelnika i Ewy Gawryluk znalazł się... początkujący wówczas, nieżyjący już laureat



fot. Paweł Szpur



fot. Paweł Szpur

Oscara, Philip Seymour Hoffman. Przez wałbrzyski plan przewinęły się też inne światowe nazwiska – w thrillerze „Europejska noc" (1993) zagrał Maxwell Caulfield (gwiazda „Dynastii"), a w widowiskowej „Dolinie Bogów" (2016) Lecha Majewskiego w zamkowych przestrzeniach zagrali John Malkovich oraz Josh Hartnett.
Egzotycznym akcentem były zdjęcia do egipskiego serialu „Arabian nights" (2015) czy indyjskiej produkcji „Sapthagiri express" (2016), co pokazuje, jak uniwersalne i wszechstronne jest to miejsce.

Nowoczesne kino, Netflix i wielka tajemnica

W ostatnich latach Wałbrzych przeżywa prawdziwy renesans na ekranach. Zamek idealnie sprawdza się w historiach pełnych napięcia, historii i tajemnic. A wszystko to również za sprawą rozwoju nowoczesnej telewizji streamingowej, która napędzana jest nowymi produkcjami. W tym miejscu, zbliżając się do czasów bardziej nam współczesnych, warto wspomnieć o takich produkcjach jak: Tajemnica twierdzy szyfrów" (2007) – wojenny serial z Pawłem Małaszyńskim i Danutą Stenką w pełni wykorzystał historyczny, lekko mroczny klimat zamku. "Ciemno, prawie noc" (2018) – ekranizacja powieści wałbrzyszanki Joanny Bator w reżyserii Borysa Lankosza po po prostu musiała powstać w Książu. Magdalena Cielecka i Marcin Dorociński weszli w świat lokalnych legend i tajemnic, a zamek zagrał w filmie jedną z głównych ról. "1983" (2018) – pierwsza polska produkcja serwisu Netflix. Zdjęcia w Wałbrzychu powstawały w 2018 roku w ścisłej tajemnicy. Zamek Książ zagrał tam reprezentacyjną, majestatyczną siedzibę wojskową i pojawiał się praktycznie w każdym odcinku pierwszego sezonu. Czy "Strefa interesów" (2022) – głośny, nagradzany na całym świecie film Jonathana Glazera, w którym zamkowe plenerowe przestrzenie również posłużyły do zbudowania przejmującej opowieści.

Zamek, który zagra wszystko

Co łączy barokowy melodramat z dystopijnym thrillerem politycznym? Odpowiedź brzmi: Zamek Książ. Historia filmowa tego miejsca udowadnia, że dolnośląski zabytkowy obiekt jest niezwykle elastycznym tłem dla wyobraźni reżyserów. Gdy następnym razem będziecie spacerować po zamkowych tarasach lub podziwiać widok z okolicznych skał, pamiętajcie, że stoicie dokładnie tam, gdzie przed chwilą stała ekipa filmowa, padł klaps i padły słowa: „Kamera, akcja!". Każdy kąt tej budowli kryje opowieść, którą znamy z wielkiego ekranu.

autor: OSA

Między lekkością a ciężarem materii. O wystawie Ewy Janus „Puch i brąz” w Wałbrzyskiej Galerii Sztuki BWA.

Wystawa Ewy Janus „Puch i brąz”, prezentowana w Wałbrzyskiej Galerii Sztuki BWA od 9 października 2026 r., stanowi propozycję uważnego spojrzenia na rzeźbę jako medium oscylujące na pograniczu obrazu, obiektu i przestrzennej kompozycji. Artystka operując minimalistycznym, a zarazem imponującym symbolicznie rezerwuarem środków formalnych, zestawia ze sobą geometryczną formę, kształt, brąz, cynk z jakże - wydawać by się mogło - kruchymi i „poszarpanymi” tekturami introligatorskimi, brystolem, papierem. Powstałe w ten sposób prace „wymykają się” konkretnym klasyfikacjom: nie są już wyłącznie płaszczyznowymi przedstawieniami, ale też nie tracą właściwej grafice dyscypliny znaku i linii: „(...) Reliefy Ewy Janus nie są jednoznaczne, ale to cecha prawdziwych dzieł sztuki. Szacunek dla odbiorcy nakazuje pozostawić mu pole do interpretacji, do osobistego odczytania treści przekazu” - zauważa prof. Rafał Strent.

Contraria sunt complementa - przeciwieństwa się uzupełniają

Podstawowym doświadczeniem towarzyszącym obcowaniu ze światem wykreowanym przez Ewę Janus, jest napięcie pomiędzy porządkiem a jego naruszeniem, czernią a bielą, ciężarem a lekkością, siłą a delikatnością, istnieniem a ulotnością. Jasne, monochromatyczne podłoża organizują kompozycje oparte na łukach, liniach prostych i rytmicznych załamaniach. Na ich tle pojawiają się ciemne, włókniste struktury, które zdają się podważać stabilność symetrycznych układów. Czerń nie pełni tutaj jedynie funkcji kontrastowego akcentu. Wkracza w uporządkowany wymiar jako odrębny, autonomiczny byt - z własną dynamiką, ekspresją i znaczeniem. Jej nieregularna, „postrzępiona” powierzchnia przywołuje skojarzenia z piórami, włosami czy fragmentami organicznej substancji, nie prowadząc jednak do dosłownego przedstawienia konkretnej formy (Obiekt IV z cyklu Zwiednie).
Szczególnie interesujące wydają się nieoczywiste realizacje przestrzeni wystawienniczej, niepoddające się interpretacyjnym ramom, schematom, których harmonia, równowaga, precyzja zostają zaburzone czy zakwestionowane przez niejednolite, abstrakcyjne struktury.
W wybranych „instalacjach” czerń uobecnia się subtelnie, materializuje w niewielkich fragmentach kompozycji (Forma I i Forma VII z cyklu Wariacje na Formę A), w innych obejmuje, „zawłaszcza” jakby wszechświat, całość rzeczywistości, przesłaniając podłoże i wyraźnie wychodząc poza jego granice (Obiekt I i III z cyklu Zwiednie). Zmienia się tym samym status dzieła, a jego odbiór wymaga uruchomienia większych pokładów wyobraźni, imaginacji, z uwzględnieniem metafor, przenośni, metafizyki.
Istotną rolę - należy również zaakcentować - odgrywa swoistego rodzaju „pustka”. Rozległe, jasne partie kompozycji nie są jedynie neutralnym tłem (choć mogą sprawiać takie wrażenie), lecz ważkim detalem współorganizującym percepcję, konotującym nowe sensy. To dzięki nim nawet niewielki ciemny fragment „nabiera charakteru”, a pozornie nieznaczne przesunięcia linii stają się czytelne. Ewa Janus - trzeba to jasno podkreślić - buduje napięcie nie przez nadmiar form, ale przez ich selekcję i precyzyjny dobór. Oszczędność środków okazuje się strategią pozwalającą wydobyć różnice pomiędzy tym, co uporządkowane, a tym, co wymyka się kontroli.

Aevum et momentum - wieczność i chwila

Antytetyczny tytuł wystawy dodatkowo wzmacnia jej lapidarny, dualistyczny, zbudowany na zasadzie kontrastu profil. Puch przywołuje skojarzenia z miękkością, delikatnością i ulotnością, brąz zaś z ciężarem, trwałością i odpornością na przemijanie, na temporalność. Zestawienie tych pojęć można rozumieć jako metaforę spotkania przeciwstawnych jakości materialnych i doświadczeniowych, czyli tego na co już w 1790 roku, w poemacie „Małżeństwo Nieba i Piekła”, zwracał uwagę angielski poeta, malarz i rytownik William Blake.
W prezentowanych dziełach lekkość, płynność, efemeryczność nie wykluczają monumentalności, trwania, egzystencji. Swobodne, niejednorodne struktury współgrają z ładem, tworząc tzw. kontrolowany chaos. W ten sposób po raz kolejny mamy do czynienia z dwuznacznością, stanowiącą jeden z ważniejszych walorów ekspozycji Ewy Janus. Za przykład warto chociażby podać wykonany w brązie „Portret trumienny”, manifestujący silnie motyw śmierci czy „Deseń metafizyczny”.

Omnia mutantur - wszystko się zmienia

Atrakcyjność wystawy polega zatem na unikaniu jednoznacznej narracji, na stawianiu pytań. Prace nie przedstawiają czytelnej historii ani nie oferują zamkniętego zestawu symboli. Ich sens pozostaje otwarty, uzależniony od wrażliwości odbiorcy i jego gotowości do podjęcia interpretacyjnego wysiłku. Jedne mogą ewokować asocjacje z rozpadem, pozostałością lub śladem, inne (te bardziej geometryczne) — z próbą usystematyzowania doświadczenia. Są to jednak tropy, a nie definitywne rozstrzygnięcia. I w tej niedosłowności tkwi właśnie potencjał.

Vanitas et constantia - marność i stałość

Konsekwentne operowanie zbliżonymi środkami formalnymi niesie wprawdzie ryzyko pewnej monotonii, ale nie w tym przypadku. Powracające zestawienie jasnej płaszczyzny, matematycznego konturu i ciemnej struktury buduje tu spójność. „Puch i brąz” wypada zatem odczytać jako wystawę poświęconą nie tyle konkretnym przedmiotom, ile samym warunkom ich istnienia: trwałości, kruchości, strukturze i śladowi. Chyba najlepiej jej ducha oddaje „Palimpsest” (termin pochodzi z języka greckiego - palímpsēstos – „ponownie zeskrobany”).
Ewa Janus w swej wizualnej wypowiedzi zaprasza widza do dialogu, do refleksji nad granicą między tym, co skonstruowane, a tym, co organiczne, między stabilnością a zmiennym, rozpadem, między obrazem a rzeczywistą przestrzenią.
Nie jest to dzieło, które odsłania swoje „ja” przy pierwszym spojrzeniu. Wymaga czasu, uważności i gotowości do pozostania w obszarze niejednoznaczności. Właśnie w tej powściągliwości, a zarazem w napięciu między delikatnością a ciężarem, ujawnia się najciekawszy wymiar artystycznego credo Ewy Janus.







fot. Paweł Szpur